

Leszek MĄDZIK

SPOTKANIE

Wojciech był dla mnie wielką inspiracją. Był obecny na wszystkich premierach, o niektórych pisał, ale zawsze czułem go na widowni, chciałem poznać jego impresje. Wyzwalał też we mnie lęk i obawę, czy udało mi się dotknąć problemów, których sam na sobie doświadczał.

To był ten pierwszy mocny moment, to pierwsze tak znaczące spotkanie, prawie konfrontacja. Z głębi Starej Auli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, która zawsze była salą teatralną, w kierunku widowni wolno, najpierw niewidocznie przesuwają się jakby jej bliźniaczo podobne odbicie w lustrze. Mają konturem amfiteatralnie siedzących widzów. Przed sobą pcha postać bohatera spektaklu *Ikar*, w porwanym prochowcu i w masce. Majestatycznie zbliża się do pierwszych rzędów widzów.

Tego wieczoru przed pierwszym rzędem siedział Wojtek Chudy. Wózki stanęły na wprost siebie. Ten przypadek jeszcze silniej zaznaczył wymowę finałowej sceny spektaklu. Miałem odczucie, że od tego czasu nasze spotkania i zainteresowanie Wojtka teatrem były pełniejsze.

Sądzę, że wtedy też pojawiła się idea pełnego opracowania tekstów o Scenie Plastycznej KUL¹. To była pierwsza pozycja o tym teatrze. Wiem, jak wnikliwie się do niej przygotowywał. Mam w pamięci spotkania w Domu Pomocy Społecznej przy ulicy Głowackiego w Lublinie, gdzie wtedy jeszcze mieszkał. Rozmowa trwała długo, dotyczyła wielu wątków, tematów, wielokrotnie czułem się podczas niej bezradny. Miałem wrażenie, że Wojtek lepiej rozumie mój teatr niż ja sam. Wnioski układały się logicznie. To była pierwsza próba zwerbalizowania tego, co niosły dotychczasowe spektakle teatru. Wojtek słuchał mnie, nie przerywając, cierpliwie i w spokoju. Spontaniczność moich wypowiedzi porządkował nie tylko spojrzeniem. Przyznam, że dużo ciepła odebrałem tego wieczoru. To nie był tylko wywiad, to była chęć zrozumienia tego, co przedstawnie chciałem wyrazić w spektaklach. Był tam też temat wszechobecny do dziś, który dotyczył przemijania, a bardziej ogólnie c z a s u.

Miałem wtedy w Wojtku pierwszego krytyka, który uporządkował moje myśli i natchnął mnie do dalszej penetracji tego tematu. Chyba podświadomie zaczerpnąłem od niego określenie mojej osoby, którego używałem potem

¹ Zob. *Teatr bezsłownej prawdy. „Scena Plastyczna” Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego*, red. W. Chudy, Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1990.

w wielu swoich wypowiedziach: „Dojrzywałem do milczenia, jak inni dojrzewają do elokwencji”.

Spokój i optymizm, wewnętrzna pogoda ducha emanowały przy każdym z nim spotkaniu.

Był obecny na wszystkich premierach, o niektórych pisał, ale zawsze czułem go na widowni, chciałem poznać jego impresje. Wyzwalał też we mnie lęk i obawę, czy udało mi się dotknąć problemów, których sam na sobie doświadczał. Jego życie, trudne, obolałe, wyzwalało we mnie wielki szacunek dla jego osoby. Nie dał mi nigdy odczuć tych trudności, które krępowały nawet gest przywitania.

Wojciech był dla mnie wielką inspiracją. Był mi potrzebny, a każda jego przychylna wypowiedź na temat mojej pracy jeszcze bardziej mnie mobilizowała. To było wyzwanie – jego życie, osoba, jego delikatność i wielka inteligencja. Kiedy go opuszczałem pamiętnego wieczoru, miałem wrażenie, że ja jestem kaleką, ułomnym.

*

...jest ciepły, letni, chyba majowy dzień, przed świątynią akademicką w Lublinie grupa ludzi, część z nich znałem. Po chwili zdawkowych rozmów weszliśmy do kościoła. Drzwi były otwarte na oścież. Popołudniowe słońce strumieniem wlało się do świątyni, jakby zapowiadało zbliżające się wydarzenie. Taki caravaggiowski obraz, pełen tajemnicy. Cień dwojga ludzi padł na drewnianą podłogę, prowadził do ołtarza. Najpierw dostrzegłem wózek, a później kobietę, która delikatnie, majestatycznie pchała go do stopni prezbiterium. Biel jej sukni, słomkowy kapelusz tworzyły jakby osłonę nad siedzącą w wózku osobą. Tego wieczoru byłem świadkiem wielkiego ślubu *m i ł o ś c i*.

I jeszcze jeden obraz. Dostrzegłem go wiele lat później. Był szary jesienny dzień, padał deszcz. Wielkie kałuże, przenikliwe zimno. Nikt na nikogo nie zwracał uwagi. Krawężnikiem płynęła brudna woda. Kierowcy zapalali już światła. W strumieniu jednego z nich dostrzegłem wózek inwalidzki. Pokrowiec z kapturem zakrywał korpus człowieka. Wózek pchała ta sama kobieta, którą zapamiętałem ze świątyni. W myślach szukałem tytułu tego obrazu, bo „Heroizm” wydawał mi się za ubogi.

Rogóżno, sierpień 2007